

Czułość

ANDRZEJ FRANASZEK

„Zrób co możesz”. Trzymałem w rękach tę kartkę pół stulecia później. Najchętniej może bym ją wykradł z archiwum, zamiast tego sfotografowałem, wydrukowałem, oprawiłem. Dziś jej reprodukcja wisi przy moim łóżku. Codziennie rano, chcąc nie chcąc, przypominam sobie to wezwanie

Dla mojej Żony

„Czułość jest tą najskromniejszą odmianą miłości. To ten jej rodzaj, który nie pojawia się w pismach ani w ewangeliach, nikt na nią nie przysięga, nikt się nie powołuje. Nie ma swoich emblematów ani symboli, nie prowadzi do zbrodni ani zazdrości. Pojawia się tam, gdzie z uwagą i skupieniem zaglądamy w drugi byt, w to, co nie jest »ja«”

Olga Tokarczuk, Czuły narrator. Przemowa noblowska

*„Jakaś litość dla nas, ludzi, jakaś czułość,
I po prostu dobroć, droga Ygrek Zet”*

Czesław Miłosz, Elegia dla Ygrek Zet

W PAŹDZIERNIKU ROKU 1969, JAK WIELE JUŻ RAZY wcześniej o tej właśnie porze roku, Czesław Miłosz poczuł przypływ twórczych sił, które niegdyś kazały mu nawet nazwać październik czasem poezji, czyli „zupełnego odważenia się / Na zaczynanie życia w każdej sekundzie na nowo” (*Traktat poetycki*). Kalifornijską jesienią zatem, kiedy też z wolna dobiegała kresu szosta dekada jego życia, ciągle krzepki, choć jednocześnie coraz częściej zmagający się w myślach ze starością, przeglądający się w oczach młodych, którzy otaczali go na uniwersyteckim kampusie, poeta zapisał jeden ze swych najpiękniejszych wierszy. Nosi on tytuł *O aniołach*:

„Odjęto wam szaty białe,
Skrzydła i nawet istnienie,
Ja jednak wierzę wam,
Wysłańcy.
Tam gdzie na lewą stronę odwrócony świat,
Ciężka tkanina haftowana w gwiazdy i zwierzęta,
Spacerujecie, oglądając prawdopodobne ściegi.
Krótki wasz postój tutaj,
Chyba o czasie jutrzennym, jeżeli niebo jest czyste,
W melodii powtarzanej przez ptaka
Albo w zapachu jabłek pod wieczór,
Kiedy światło zaczaruje sady.
Mówią, że ktoś was wymyślił,
Ale nie przekonuje mnie to.
Bo ludzie wymyślili także samych siebie.
Głos – ten jest chyba dowodem,
Bo przynależy do istot niewątpliwie jasnych,
Lekkich, skrzydlatych (dlaczegoż by nie),
Przepasanych błyskawicą.
Słyszałem ten głos nieraz we śnie
I, co dziwniejsze, rozumiałem mniej więcej
Nakaz albo wezwanie w nadziemskim języku:
zaraz dzień
jeszcze jeden
zrób co możesz”.

W grudniu tego samego roku, można rzec: w perspektywie Wigilii, utwór został opublikowany przez paryską „Kulturę”. Gdy do redakcji w Maisons-Laffitte dotarły z drukarni paczki z egzemplarzami pisma, jeden z nich zabrał do pokoiku na piętrze Józef Czapski. Przeczytał wiersz, a potem podkreślił ostatnie słowa: „zrób co możesz”. I wyrwał kartkę, chcąc o słowach tych nie zapomnieć.

Trzymałem w rękach tę kartkę pół stulecia później. Najchętniej może bym ją wykradł z archiwum, zamiast tego sfotografowałem, wydrukowałem, oprawiłem. Dziś jej reprodukcja wisi przy moim łóżku. Codziennie rano, gdy nieprzytomny wyciągam rękę w stronę leżącego na nakastliku, rozwrzeszczanego telefonu komórkowego – chcąc nie chcąc – przypominam sobie to wezwanie.

Pod koniec lat 60. myśli Miłosza krążyły bodaj najczęściej wokół tematów związanych z desakralizacją ludzkiego świata, z traceniem przez nas pragnień metafizycznych, przynosiły takie wiersze jak *Oeconomia divina*, takie książki jak *Widzenia nad Zatoką San Francisco* czy *Ziemia Ulro*. Czapski podkreślał słowa poety może dlatego, że korespondowały z biegiem jego własnej egzystencji. Z zapisywanym w *Dziennikach*, ponawianym dzień po dniu, nieledwie mnisim wysiłkiem: by raz jeszcze stanąć przed sztalugami, raz jeszcze nie poddać się zwątpieniu, raz jeszcze zacząć od nowa. Ale wielu innych czytelników „Kultury”, a później tomu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* wpisywało w Miłoszowe napomnienie własne zgryzoty. Może nawet nie zastanawiali się nad tym, jak dawno minęły chwile, gdy bliski był im wizerunek uskrzydłonej postaci, która troszczy się o bieg kroków dziewczynki i chłopca, chroni podczas przeprawy przez zdrażliwy mostek, wizerunek wiszący nad niejednym łóżeczkiem jeszcze w moim dzieciństwie. Czuli przecież to pochodzące od Boga lub od własnego sumienia zobowiązanie: by przeciwstawić się złu albo tylko obojętności, oschłości serca. Pamiętać o tym, że innych ludzi można jednak – jak uważał krewny Czesława, mistyk i poeta Oskar Miłosz – kochać „starą miłością, zużytą przez samotność, litość i gniew” (*Pustkowiec*). Po namyśle moglibyśmy dodać: miłością spokojniejszą, ale też – miejmy nadzieję – mądrzejszą.

„Szczęśliwi ludzie nie piszą listów”

JAK TRUDNO JEST ZAPISAĆ DOBRO, KTÓRE STAJE SIĘ naszym udziałem. Kilka lat temu uprzytomniłem sobie, że przesiadując w archiwach pisarzy, czytając tysiące krążących wokół ich postaci listów, zanurzam się głęboko w pasma rozczarowań, smutków, miłosnych niespełnień, depresji. Gdy nad kieliszkiem wina wspominałem o tym znajomemu wydawcy, ten uśmiechnął się ze zrozumieniem i może lekką wyższością: – Przecież szczęśliwi ludzie nie piszą listów!


Nie do końca miał rację, ale – jak sędzę – zbliżał się do prawdy. Czasem ból zamyka, wręcz – jak

w wierszach Marcina Świetlickiego czy w opowiadaniach Jerzego Pilcha – zaszywa nas w sobie, sprawia, że nie jesteśmy w stanie utrzymać kontaktu ze światem, przeraża nas odebranie telefonu, odpowiedzenie na e-mail. Ale bodaj równie często pod jego wpływem stajemy się wielomówni, zdręczamy bliskich, raz po raz, z nieodmienną pasją opowiadając im o naszych nieszczęściach. Ból cięży, jest niczym kamień

przywiązany do nóg tonącego, wypowiedzenie, wykrzyczenie, wyszeptanie go pozwala na chwilę przestać się topić. A szczęście, które – podpowiada zdarta fraza – ma uskrzydlać? Czy nie jest tak, że pod jego wpływem do lotu wzbijamy się samotnie, co najwyżej z drugą ludzką istotą, jeżeli to ona szczęście nam przyniosła? I jeśli nawet wypowiadamy – jak mówi Zbigniew Herbert – „litanię zakochanych” (*Dwie krople*), czynimy to raczej szeptem, pocałunkiem, spojrzeniem?

Także w literaturze szczęście nie ma się najlepiej, o czym przypomina jedno z najbardziej znanych zdań, jakie zostały stworzone przez europejską kulturę: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Podobne, rozumiemy myśl Tolstoja, a zatem właściwie nie ma potrzeby bliżej im się przyglądać, a tym bardziej próbować wypowiedzieć ich losów, przeciwnie niż losów wszystkich udręczonych Kareninów czy Obłońskich. „I żyli długo i szczęśliwie” – tak z kolei kończą się baśnie, także te przebrane w dzisiejsze melodramaty lub romanse, najwyraźniej uznając, że to, co ciekawe, co przykuwa uwagę słuchacza, widza, czytelnika, wydarzyło się w epoce przed szczęścia owego nastaniem.

Zapewne nie istnieje nic takiego jak pełnia szczęścia, nieodmiennie odnajdziemy w sobie jakiś cierni, a jeśli żyć będziemy „długo”, to nie na zawsze „szczęśliwie”. A przecież nawet wtedy gdy już od młodzińskich lat towarzyszy nam ton melancholii, przygłuszając radość istnienia, własne, najbardziej prawdziwe doświadczenie pozwala pamiętać, że dar szczęścia, dar otrzymanej miłości, która godzi się na naszą ułomność i zarazem



Dotyk jest alfabetem miłości, prawdziwszym może od wyznań zawartych w słowach. Trwa w naszych dłoniach, kiedy opuszczając ręce matki i ojca, rosną, nabierają siły, gotowe wreszcie, by w ich gniazdach znalazły schronienie ciepłe dłonie dziecka

O ANIOŁACH

Odjęto wam szaty białe,
skrzydła i nawet istnienie,
ja jednak wierzę wam,
wysłańcy.

Tam gdzie na lewą stronę odwrócony świat,
ciężka tkanina haftowana w gwiazdy i zwierzęta,
spacerujecie oglądając prawdopodobne ściegi.

Krótki wasz postój tutaj,
chyba o czasie jutrzennym, jeżeli niebo jest czyste,
w melodii powtarzanej przez ptaka,
albo w zapachu jabłek pod wieczór
kiedy światło zaczaruje sady.

Mówią, że ktoś was wymyślił
ale nie przekonuje mnie to.
Bo ludzie wymyślili także samych siebie.

Głos — ten jest chyba dowodem,
bo przynależy do istot niewątpliwie jasnych,
lekkich, skrzydlatych (dlaczegoż by nie),
przepasanych błyskawicą.

Słyszałem ten głos nieraz we śnie
i, co dziwniejsze, rozumiałem mniej więcej
nakaz albo wezwanie w nadziemskim języku:

zaraz dzień
jeszcze jeden
zrób co możesz.

Czesław MIŁOSZ

□ Wiersz Czesława Miłosza
O aniołach z podkreślonym
przez Józefa Czapskiego
wersem: „Zrób, co możesz”
fot. Andrzej Franaszek

godzi nas z naszymi ułomnościami, jest czymś olśniewającym, ogarniającym niczym wody ciepłego południowego morza. I potrafi być rezerwuarem nadziei – tak jak dla Czesława Miłosza źródłem siły odzyskiwanej po okresach zapaści były krótkie, ale szczęśliwe lata spędzone w majątku dziadków, pomiędzy gałęziami leszczyny, wśród gęstego zapachu traw, w dolinie rzeki Niewiaży, która potem przemieniła się w Issę.

Gdy o tym myślę, zwykle przypominają mi się słowa Simone Weil, piszącej o podejrzanym splocie

literatury i moralności, o dylemacie artysty, który przyciągał uwagę także Miłosza. Filozofka, ascetyczna święta dochodziła do wniosku, iż „zło wyobrażone jest romantyczne, różnorodne, zło rzeczywiste – ponure, monotonne, pustynne, nudne. Dobro wyobrażone jest nudne, dobro rzeczywiste jest wiecznie nowe, cudowne, upajające. A zatem »literatura wyobraźni« jest albo nudna, albo niemoralna (albo jest mieszaniną jednego i drugiego). Groźby tej alternatywy może uniknąć tylko wtedy, kiedy – mocą sztuki – przejdzie w jakimś



W literaturze
szczęście
nie ma się
najlepiej, o czym
przypomina jedno
z najbardziej
znanych zdań,
jakie zostały
stworzone przez
europejską
kulturę:
„Wszystkie
szczęśliwe rodziny
są do siebie
podobne, każda
nieszczęśliwa
rodzina jest
nieszczęśliwa na
sвій sposób”

□ Czesław Miłosz w gospodarstwie w Klimczach nad Bugiem, 13 czerwca 1981 r.
fot. Maciej Billewicz/PAP

sensie na stronę rzeczywistości – czego może dokonać tylko geniusz” (tłum. A. Olędzka-Frybesowa).

„Kiedy ktoś płacze, trzeba go czasem dotknąć, objąć”

PO STRONIE RZECZYWISTOŚCI, A NIE ZMYŚLENIA, OPOWIADA SIĘ DOTYK, TO WŁAŚNIE ON – ZDANIEM HERBERTA – „układa palce w ranie świata / i od pozoru rzecz oddziela” (*Dotyk*).

Pod koniec października 1959 r. Jarosław Iwaszkiewicz przyleciał do Paryża, spędził tam blisko miesiąc, spotykał się z Miłoszem, co przyniosło mu bolesne rozczarowanie, skrzętnie udokumentowane w *Dzienniku*. W tym samym kajecie zapisał także inny epizod: „Byliśmy na śniadaniu z Piotrem Lachmannem w (...) restauracyjce na placu du Palais Royal (...). Naprzeciwko nas siedziała starsza pani, pijąca kawę. Płakała bez przerwy. Strasznie nam było jej żal. Kiedy już wstawaliśmy od stołu, podszedłem do niej, pocałowałem ją w rękę i powiedziałem: »*Ne pleurez pas, madame! On ne vaut pas la peine!*«. [Niech pani nie płacze! Nie warto! – przyp. aut.] (...) Uśmiechnęła się do mnie przez łzy. Kiwnęliśmy sobie dłonią – i wyszliśmy na miasto”.

Pochodzący z Gliwic Piotr Lachmann, poeta i reżyser teatralny, przez parę dziesięcioleci mieszkał w Niemczech Zachodnich, gdzie przekładał Miłosza, Kołakowskiego, Czapskiego. Przyjaźnił się z Tadeuszem Różewiczem, który jedno z ich spotkań, już na nowo w Warszawie, w mieszkaniu Ryszarda Przybylskiego, zapisał liniami poematu *tempus fugit*. W długim refleksyjno-gawędziarskim tekście znajdziemy fragment:

„Piotr opisał nam scenę
która »rozegrała się«
przed wielu laty
w paryskiej kawiarni
między Jarosławem Iwaszkiewiczem
i nieznaną kobietą
która siedziała sama
przy stoliku i płakała
(...)»

Jarosław wstał
podszedł do kobiety
pochylił się nad nią
mówił coś szeptał do ucha
objął ramieniem mówił dalej
kobieta przestała płakać



otarła lzy wyszła
Jarosław wrócił na swoje miejsce
i powiedział (do Piotra)
»kiedy ktoś płacze
trzeba go czasem dotknąć
objąć«.

Od gestu poety z Place du Palais Royal do spotkania trzech wiekowych przyjaciół w „pustelni brata Ryszarda” przy ul. Akermańskiej minęło lat prawie 50, nic więc dziwnego, że opowieść tłumacza różni się nieco od zapisu, który umieścił w swym *Dzienniku* Iwaszkiewicz. Pomyślmy jednak, jak bardzo zdarzenie w paryskiej kawiarni musiało być poruszające, skoro Lachmann w ogóle pamiętał je przez pół wieku. I zauważmy, że jest coś fortunnego w fakcie, iż zapewne nigdy się nie dowiemy, od kogo pochodzą ostatnie, zacytowane słowa. Czy rzeczywiście wypowiedział je autor *Panien z Wilka*, gdy już złożył pocałunek na dłoni zrozpaczonej kobiety, pocieszając, ale jakby też korząc się przed jej smutkiem? Czy też tak skomentował jego zachowanie przyglądający się całej scenie tłumacz? A może tak naprawdę to Różewicz uzupełnił jego relację zgodnie z najbardziej własnym przekonaniem? Niosący ratunek dotyk był wszak i dla niego ważny, pisał o tym choćby w liście do „starszego brata” – Czesława Miłosza: „Bardzo się ucieszyłem, kiedy wczoraj wieczorem usłyszałem Pana głos »w telefonie« – głos, przedłużenie dotyku. Podał mi Pan pomocną dłoń (tak bardzo mi było tego potrzeba)”.

Dotyk znany na pamięć

W WIERSZU *PARA STARYCH LUDZI* CHARLESA SIMICA słyszymy człowieka, który wygląda ze swego mieszkania, ze swego skrawka świata, by w oknie naprzeciwko dostrzec dwójkę starców, przypuszczalnie wiekowe małżeństwo. Wie o nich sporo, zapewne przyglądał się im wielokrotnie, może to samotność czyni z niego obserwatora. A może po prostu doświadczenie i wrażliwość pozwalają mu przeczuć ich już niepewne istnienie, godziny nawiedzane przez lęki, które nie muszą nawet mieć prawdziwego uzasadnienia, nie są wszak przez to mniej bolesne. Wie zatem, iż oboje „oczekują, że padną ofiarą morderstwa / Albo eksmisji. Spodziewają się, / Że wkrótce nie będzie co jeść”. Siedzą prawie nieruchomo – w fotelach? na wysłużonej kanapie? – dlatego że ich ciała są słabe, ale też jakby powodowani nadzieją, że w ten

sposób odwróćą od siebie uwagę losu, jeszcze trochę odsuną nieuchronną chwilę, gdy nadejdzie ból. „Zacznie się – myślą – w sercu / I podejdzie do ust. / Zostaną wyniesieni wraz ze swym skowytem na noszach”.

Zdania wiersza, a w każdym razie jego polskiego przekładu są skromne i jednostajne, takie same jak bardzo późne dni czy też – posłużmy się Beckettowskim słowem – „końcówki”, *endgames* naszych egzystencji. Dwoje ludzi ma za sobą może pół wspólnie spędzonego stulecia, czas, kiedy powiedzieli już sobie wszystko, dziś zatem „nie zamieniają ni słowa”, jedynie „wpatrują się w okno”, w pozbawione barwy niebiosa końca roku, gdy monotonicznie „pada deszcz” i jeszcze – myśli wypatrujących też są nieśpieszne, mało ożywione – „zanosi się na trochę śniegu”.

A przecież nie wszystko umarło. Została drobina miłości, która nie potrzebuje słów, bo tli się w dotyku, znanym na pamięć, ciągle jednak niosącym pociechę. Ostatniej sceny obserwator nie mógł już zobaczyć. Musiał sam zapragnąć tej krótkiej chwili, w której pomiędzy szare bloki czasu, godziny oczekiwania, wkrada się czułość: „Widzę jego, jak wstaje, żeby opuścić rolety. / Jeśli w oknie będzie wciąż ciemno, / Będę wiedział, że położył dłoń na jej dłoni / Właśnie w chwili, gdy miała włączyć światło” (tłum. S. Barańczak).

Dłonie rodziców

MINĄWSZY PÓLMETEK ŻYCIA, WIEMY, ŻE TO WŁAŚNIE w dotyku zawiera się ostatnie pożegnanie, ostatnia możliwość bliskości. Gdy trzymaliśmy za rękę umierającego, nieprzytomnego ojca, mając nadzieję, że dotyk dotrze dalej niż słowa – już niesłyszane. Patrząc na ręce znane nam od początków naszego życia, przez tak wiele lat życie to podtrzymujące i osłaniające. Ręce odchodzących rodziców, które tak pięknie ukazał Kazimierz Wyka w finale erudycyjnego, a zarazem aż zaskakująco intymnego, pisanego na trzy lata przed własną śmiercią eseju *Dłonie Marii*. Gdy zbierając tropy i zmieniając tonację wypowiedzi, od rzeźby umierającej Matki Bożej w ołtarzu Wita Stwosza krytyk przechodził do niedających mu spokoju wspomnień: „Dłonie mojego ojca, kiedy, pozbawiony przytomności, przez cały tydzień docierał mozolnie do swego końca, kiedy nie było już z nim kontaktu, wciąż wykonywały niecierpliwe, bezładne ruchy po kołdrze. Prawą dłonią jak gdyby kogoś szukał. Ująłem ją w swoją dłoń. Nastąpiło coś na nikłe podobieństwo kontaktu i porozumienia. Ojciec ujął

moją rękę, podniósł ją do czoła. Może chciał pokazać, że tam, pod czaszką, bardzo boli.

Dłonie mojej matki były małe, pokryte skórą pomarszczoną i suchą. Tak były małe i zwiędłe, o krótkich i spracowanych paznokciach, jak kończyny nikomu już na nic niepotrzebnej lalki. Była do końca przytomna, do oczu sięgała dłonią, coś koło nich pocierała i wysuszała. Niewiele mówiła, tym ruchem wysuszała swoje zegnane ze światem.

Dłonie Marii. Dłonie każdej Marii. Każdego człowieka, każdej kobiety, każdego mężczyzny. Kiedy zwisną bezwładne i żadnego odtąd ruchu nie uczynią”.

Podobne chwile ukazuje *Kadysz* Charlesa Reznikoffa, żałobna medytacja syna, który wspomina najprościej: „W swojej ostatniej chorobie matka ujęła mnie mocno / za rękę: pierwszy raz poczułem / jaka jej ręka jest szorstka, i jaka miękka jest moja”. Tak zaczyna się i kończy nasze życie – uściskiem dłoni, skórą, która zapisuje mijające lata. Ale wiersz amerykańskiego poety pokazuje, że dotyk chce przekroczyć także ostatnią granicę. Inaczej niż we wspomniałym zapisie *czas na mnie...* Tadeusza Różewicza, o którym Miłosz powiedział, iż „warto życie przeżyć, żeby taki wiersz napisać”, zmarła matka nie jest przewodniczką, nie oczekuje na syna po „tamtej stronie”, nie próbuje go pocieszyć, gdy i on zbliża się do kresu. Sama pragnie pocieszenia, nadal niepogodzona z tym, że musiała umrzeć, nadal cierpiąc – po śmierci. Poeta, syn wyciągnie do niej dłoń:

„Matka pochyliła się nade mną
jak kiedy byłem dzieckiem.
Co przyszła mi powiedzieć
z grobu?
Bezradny
patrzyłem na jej ból;
uniosłem rękę
żeby pogłodzić ją po policzku,
dotknąłem go i obudziłem się”. (tłum. P. Sommer).

Wdzięczność

DOTYK JEST ALFABETEM MIŁOŚCI, PRAWDZIWSZYM MOŻE od wyznań zawartych w słowach. Trwa w naszych dłoniach, kiedy opuszczając ręce matki i ojca, rosną, nabierają siły, gotowe wreszcie, by w ich gniazdach znalazły schronienie ciepłe dłonie dziecka. Gdy napotykają tych, których kochamy. Ich ręce, plecy, włosy, cierpliwie gładzone przez nas stopy. Kołysze ciała w spokojnym śnie,

gdy zasypiając i budząc się, czujemy ciężar tej drugiej osoby. Gdy patrzymy na śpiącą i widzimy jej oddech. Gdy dziękujemy światu? Bogu? – za dar jej istnienia. Gdy nagle bez żadnej konkretnej przyczyny nawiedza nas czułość, trudna do wypowiedzenia i dlatego szukająca uścisku.

Gdy każdego dnia przypominamy sobie wezwanie z wiersza *O aniołach*, wiedząc, że trzymać w dłoniach to uczucie, nie wypuścić go – także jest odpowiedzią.

Gdy chcemy powiedzieć za Miłoszem: „*Tendresse*. Wolę to słowo niż polskie czułość. Kiedy ściska w gardle, dlatego że istota, na którą patrzę, jest tak bardzo krucha, ranliwa, śmiertelna, wtedy *tendresse*” (*Tendresse*). — z

Powyższy szkic jest częścią książki krytycznoliterackiej Gwiazda Piołun, która ukaze się nakładem Wydawnictwa Znak.

Andrzej Franaszek

Dr hab., prof. UP, literaturoznawca,
wykładowca Uniwersytetu
Pedagogicznego w Krakowie,
wieloletni redaktor „Tygodnika
Powszechnego”. Autor biografii
Czesława Miłosza i Zbigniewa
Herberta